

Rafał Sulikowski

# „Dywanowy nalot” na literaturę

## Problem relacji duchowości (religii) oraz sztuki literackiej

Sporo narzeka się, że młodzi nie czytają, że siedzą przy komputerze, że tracą cenny czas, pozbawiając się radości czytania, że literatura stała się znowu elitarna, wychodząc ponownie spod strzech i powracając na margines, dokąd zepchnięta kultura wyższa musiała się ewakuować z ogarniętego szaleństwem świata celebrycko-próżniaczego; że dzieci nie umieją się zachować w sytuacjach społecznych, nie mając wzorców „pięknego mówienia” (zwłaszcza, że nie ma już w szkole np. retoryki, sztuki piękno wystawiania się, itd.), nie mając zakodowanych w świadomości pewnych dobrych ścieżek (traditio) tworzenia. Wylano w ciągu minionych dwu i pół dekad ocean łez i atramentu, zaczerniono tysiące metrów kw. papieru, by ogłosić powszechny czerwony alert w sprawie powszechnego „nieczytania”, wtórnego analfabetyzmu, kulturowej regresji prawie, że w nieskończoność, że przyszli „nowi barbarzyńcy”, tym razem wcale nie ze wschodu ani północy i to oni zamienili galaktykę Gutenberga w państwo obrazkowe, komiksowe, a w najlepszy, razie literaturę mailowo-esemesową, wyświetlaną czasem nawet na murach wielkich miast, jak np. kilka lat temu na rogu Brackiej i Głównego Rynku w Krakowie, ale nie tylko.

Tym bardziej, że są to konstatacje zasadniczo logiczne i spójne, dziwi przypuszczany od dobrej dekady frontalny atak na literaturę i to wcale nie ze strony „salonowo-wielkoświatowej”, ale ze strony, która z kulturą wysoką miała wieki temu całkiem sporo do rozmowy, podtrzymując narodową tożsamość języka (jak w Romantyzmie), ludowy „kościół pamiętek”, czasem prastowiańskich, w każdym razie przedchrześcijańskich. Religia, która pomagała wydawać wielkie dzieła w języku narodowym (jak w renesansie, jak w baroku), wspierała trud ustanawiania nowej tradycji tożsamości językowej Polaków, pomagała Mikołajowi Rejowi i Janowi Kochanowskiemu w, właściwie tak to trzeba nazwać, zainicjowaniu w ogóle, niemal „ex nihilo” języka narodowego, także przekładać Biblię na świeżo powstający w XVI wieku język narodowy, ta sama religia, która tyle wkładu wniosła w twórczość trzech wieszczów, potem zwłaszcza Norwida i wybitnych przedstawicieli modernizmu (w sensie wąskim tu: jako synonim Młodej Polski, dekadencji, symbolizmu, secesji, itd.), by wspomnieć takie nazwiska, jak Tetmajer, Staff, Wyspiański i tuzin co najmniej innych – dziś proszę państwa ta religia odciąga od czytania nie tylko dzieł uznawanych przez pokolenia za arcydzieła sztuki literackiej, nie tylko od czytania drugorzędnych pisarzy, ale od czytania w ogóle. Można czytać tylko Biblię i to najlepiej w wydaniu wcale nie będącej arcydziełem piękna Biblii Tysiąclecia

(o wiele lepsze pod tym względem jest wydanie tzw. Biblii Jakuba Wujka, co prawda dziś trudno zrozumiałej, ale przez to pięknej), a najlepiej by było, gdyby z okrajanej ciągle listy lektur obowiązkowych (o ile słowo „obowiązkowy” jeszcze jest w ogóle zrozumiałe) pozostawić jedynie dzieła, czy raczej utwory z pieczęcią „imprimatur”. Wyrzucono więc po kolei: Gombrowicza, znacznie skrócono romans z Oświeceniem (bo przecież to epoka „heretycka”), nie za bardzo ciesząc się porarciem atakujących od dekady prawicowych środowisk kościelnych takie „płody”, jak kongenialne dzieła Schulza, Witkiewicza czy Szymborskiej. Już podczas debaty politycznej po śmierci Miłosza i kwestii jego miejsca spoczynku wśród panteonu, olimpu narodowego posługiwano się naprawdę prymitywnymi, nauczonymi pewnie w szkółce niedzielnej, argumentami: że kosmopolityzm, że lewicowy, że ateista, a co najmniej agnostyk (nie wiadomo, co gorsze!), że zbyt oryginalny, za mało tradycyjny (przy czym chodzi o wąsko rozumianą tradycję katolicką, w wersji sarmacko-trydenckiej, przedsoborowej, czy kontrreformacyjnej), że za bardzo „heretycki” (tu w znaczeniu: „samodzielne, indywidualne poszukiwanie prawdy omijające bezkrytyczną absorpcję poglądów oficjalnie reprezentowanych przez instytucję kościelną, posługującą się takimi narzędziami, jak magisterium, jednoznaczna wykładnia Pisma świętego oraz katechizm, który jest jedną z największych metod przekonywania do jedynej i ostatecznej prawdy”), że to, że tamto, że siamto. Biadaniom nie było końca. Wyrzucono Miłoszowi niemal zdradę – porzucił Polskę, zanim napisał „Zniewolony umysł”, to przecież jego pisarstwo nie było bez grzechu poczęte, wyjechał na ten zepsuty do cna „zachód”, no i masz ci los: jak on śmiał krytykować własny naród, kłosać rękę, która go wykarmiła, kalać własne gniazdko. Prymitywizm i zaściankowość niemal parafialnozakrystowa pomyj lejących się na kolejnego już w historii literatury polskiej Laureata Nobla nie miały doprawdy granic. Co rusz, co felieton, to wynajdowano nowe argumenty: Miłosz odciąga młodzież od „prawdy”. Oczywiście, nikt nie wie, co to jest ta prawda, ale to nie przeszkadzało krytykantom niszczyć fenomenalny gmach, jaki z trudem, w tamtych warunkach społeczno-politycznych i obyczajowych, wznosił autor pięknych wierszy, jak choćby tego (cyt. z pamięci):

„Który skrzywdziłeś człowieka prostego,  
Śmiechem nad nędzą jego wybuchając,  
Gromadę błaznów koło siebie mając,

Nie bądź bezpieczny, poeta pamięta  
Możesz go zabić, narodzi się nowy  
Spisane będą czyny i rozmowy.

Lepszy byłby dla ciebie świt zimowy  
I sznur i gałąź pod ciężarem zgięta”.

Mówić, że wielka literatura pochodzi od diabła, że należy czytać tylko skądinąd dobrane i sprawnie napisane „powieści katolickie” (Gołubiew, Dobraczyński, Malewska, itp.), że trzeba z każdej lektury się spowiadać, że książki niszczą wiarę, obyczaj, że prowadzą do piekła, że są zagrożeniem duchowym, że np. czytanie Pottera może skończyć się owładnięciem przez stado demonów, to nie wiedzieć, co to jest kultura, po co istnieje literatura, kim są poeci, po co powstają nieortodoksyjne utwory, to wywłaszczyć siebie samego z tożsamości literackiej, a tym samym – poprzez słowa Norwida o pracy i pięknie, ostatecznie także z tożsamości duchowej, o którą walczą nieumiejętnie studentki teologii moralnej, pisząc koszarne analizy światopoglądowe utworów. To nie wiedzieć, że literatura właśnie prowadzi do przebudzenia, do wzrostu świadomości i może właśnie o to chodzi? Może chodzi o to, żeby młodzież nie czytała nic poza książkami o. Knotza o seksie, pani Półtawskiej o seksie, o. Augustyna o seksie, żeby można było łatwiej panować nad młodymi, niewyrobionymi jeszcze duszami młodzieży, której bezkrytycznie można wmawiać w XXI wieku, że za przeczytanie fantasty idzie się do piekła...no ludzie!

Zamiast się cieszyć, że młodzież właśnie także dzięki Internetowi i książkom fantasty wróciła częściowo do lektury, porzuconej w „czasach marnych”, zamiast popierać koncepcję, że lepiej czytać cokolwiek niż nic (przynajmniej początkującym), zamiast wciągać ludzi w światy przedstawione epiki, pozwolić im „zamieszkać we wnętrzu powieści”, nie – wyjdzie jakiś Pseudo-Skarga na ambonę i będzie plótł kompletne bzdury na temat, jaka to ta literatura szkodliwa, jak niszczy moralność i że najlepiej zrezygnować przezornie z czytania i włączyć radio, oczywiście „to radio” (każdy wie, o co chodzi). Przypominają się nie tylko dawne czasy palenia książek (inkwizycja, hitlerowcy), indeks, ale i całkiem niedawno zniesiona w 1990 dopiero roku kontrola publikacji i widowisk, zwana potocznie cenzurą. Oczywiście cenzury prewencyjnej już „niet”, ale jako żywo na naszych przecieranych ze zdumieniem oczach widać odradzającą się tak zwaną „cenzurę represyjną”: dawniej utwór albo szedł do magazynu, albo ukazywał się za przeproszeniem wykastrowany. Dziś można wydać, zwłaszcza własnym nakładem, niemal wszystko. Co z tego, gdy zamiast rzetelnej krytyki literackiej, znaczonej nazwiskami Brzozowskiego czy Kwiatkowskiego, mamy krytykę ambonową, krytykę „wiadomego radia” i „wiadomej telewizji”. Cóż, wielka